



Trudny dzień profesora Żuławskiego

2022-02-02

Profesor Karol Żuławski był wybitnym psychiatrą, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, prymariuszem szpitala św. Łazarza. Opublikował kilka prac naukowych, między innymi rozprawę „O urojeniach”. Jednak przede wszystkim był terapeutą.

Prowadził szeroką praktykę prywatną, a do grona jego pacjentów należało wiele znanych postaci. Niektóre z nich zapraszały profesora na domowe wizyty. Do dziś zachowało się jedno takie zaproszenie i to z kopertą ozdobioną pięknymi fantazjami florystycznymi. Ozdoba taka nie powinna dziwić i jest zupełnie zrozumiała. Przecież jej twórcę zaliczamy do szczupłego grona wieszczów narodowych.

Zdrowa dzielnica

Jednak nie wszystkim pacjentom wystarczały wizyty domowe. Dla trudniejszych przypadków prowadził profesor prywatną lecznicę. Był to „Dom zdrowia dla umysłowo chorych”. Zakład ten znajdował się na końcu ul. Długiej i był oznaczony numerem 82. Zbudowana na jego dawnym miejscu przedwojenna kamienica znajduje się blisko placu targowego Nowy Kleparz oraz ruchliwej al. Trzech Wieszczów. Inaczej było na przełomie XIX i XX w., kiedy „Dom zdrowia” funkcjonował. Wtedy profesor Żuławski mógł śmiało twierdzić, że jego zakład jest „położonym w najzdrowszej dzielnicy miasta, wśród ogrodów”.

Do lecznicy, koncesjonowanej przez „Wysokie c. k. Namiestnictwo galicyjskie”, przyjmowano „osoby dotknięte chorobą umysłową, alkoholistów, morfinistów, jako też osoby dotknięte wszelkiego rodzaju nerwicami, połączonemi ze zboczeniem umysłu”. Pacjentom gwarantowano leczenie „odpowiednie do postępów nauki”, zaznaczając jednocześnie, że metody tak drażliwe, jak hydroterapia i elektroterapia stosowane są tylko „w miarę potrzeb”. W prospekcie reklamowym „Domu zdrowia” zapewniano również, że „Staranna opieka lekarska, wszelkie wygody i towarzyskie życie wśród rodziny są zapewnione”. Pobyt w lecznicy profesora Żuławskiego nie był jednak tani. Opłaty za jeden dzień „wraz z opieką lekarską i zupełnem utrzymaniem” wahały się od pięciu do dziesięciu złotych reńskich, co nie było małą kwotą.

Rozstrój psychiczny księżnej Klotyldy

Można podejrzewać, że sporządzając na początku 1904 r. kolejne roczne sprawozdanie z działalności kierowanego przez siebie, koncesjonowanego zakładu, profesor Żuławski zastanawiał się poważnie, jak przedstawić wydarzenia z wtorku 29 grudnia. Był to bowiem niezwykle dzień w jego wieloletniej działalności zawodowej i rzeczywiście obfitował w szczególne wydarzenia.

Wszystko zaczęło się wczesnym popołudniem, kiedy profesora poproszono o pilne przybycie do Sądu Powiatowego Cywilnego, który wówczas miał swoją siedzibę przy ulicy św. Jana pod numerem 22. Powodem wezwania wybitnego psychiatry było dziwne zachowanie pewnej petentki. Osobą tą była księżna Klotylda W. Owa pani, także pochodząca ze znanej rodziny o arystokratycznych koneksjach,



pozostawała od pewnego czasu w separacji z swoim mężem. Księżna, mieszkająca na Półwsiu Zwierzynieckim, była postacią znaną w Krakowie. Swą popularność zawdzięczała przede wszystkim niekonwencjonalnemu zachowaniu. Przez pewien czas kierowała zwierzynieckim urzędem pocztowym. Jednak „wskutek jej zdenerwowania, przychodziło do rozmaitych nieporozumień w urzędzie między pocztmistrzynią a stronami”. W tej sytuacji władze pocztowe we Lwowie postanowiły zbadać stan umysłu księżnej K. Zadanie to zlecono dwóm krakowskim lekarzom sądowym. Byli to dr Ignacy Schaitter oraz dr Stanisław Jankowski, którzy stwierdzili, że księżna cierpi na „rozstrój psychiczny”. W tej sytuacji konieczne było odsunięcie pani K. „od urzędowania”.

Sztylet świętego Benedykta

Można podejrzewać, że brak zajęcia bardzo pogorszył samopoczucie pani Klotyldy. Sytuacja uległa diametralnej zmianie. Teraz już nie petenci, ale mąż stał się obiektem jest agresji. Rozpoczęła walkę z nim za pomocą rozlepianych po mieście plakatów oraz zamieszczanych w prasie ogłoszeń. Konserwatywny dziennik „Czas” tak opisywał tę aktywność księżnej W: „zaczęły się pojawiać plakaty bardzo zagadkowej treści, zaopatrzone nazwiskiem księżnej Klotyldy W., zapowiadające, że nie podpisywała żadnych weksli i płacić ich nie będzie; również, że nie podpisywała żadnego podania o rozwód”.

Plakaty, zawieszone na ścianach kamienic i na drewnianych płotach podmiejskich, niezabudowanych parcel, mogli czytać wszyscy krakowianie, niebędący analfabetami. W innej sytuacji byli sędziowie Sądu Powiatowego Cywilnego. Księżna zaczęła bowiem składać tam wizyty i domagać wydania jakiegoś bliżej niesprecyzowanego, hipotetycznego depozytu. Z jakiś powodów adresatem owych żądań był sędzia dr Władysław Chrząszczyński. Ponieważ działania te okazały się nieskuteczne, księżna zdecydowała się na bardziej radykalne działanie i 29 grudnia 1903 r. odwiedziła samego prezesa Sądu Powiatowego Cywilnego, kawalera orderu Franciszka Józefa, dr Franciszka Bujaka. Jak relacjonował socjalistyczny dziennik „Naprzód”: „W czasie rozmowy swojej z radcą sądu drem B., księżna W. wydobyła nagle z zanadru długi sztylet, a oświadczwszy, że to jest nóż, który otrzymała z rąk własnych św. Benedykta, zaczęła nim błyskać przed oczyma przerażonego radcy”. Prawdopodobnie prezes uspokoił jakoś panią Klotyldę i dyskretnie polecił zatelefonować na numer 152 (jak widać telefonów nie było w Krakowie wtedy jeszcze zbyt wiele) do doktora Żuławskiego, który oczywiście natychmiast przybył. W tej sytuacji diagnoza mogła być tylko jedna. Profesor Żuławski stwierdził, że księżna cierpi na „obłęd umysłowy”. Zawezwane pogotowie ratunkowe odwiozła panią Klotyldę do „oddziału obłąkanych szpitala św. Łazarza”.

Refleks pielęgniarza

Rozmowa z księżną K. nie była jedynym emocjonującym wydarzeniem, które 29 grudnia 1903 r. przeżył dr Żuławski. W „Domu zdrowia” czekała na profesora przykra niespodzianka. Jeden z pensjonariuszy młody hrabia D. ze znanej galicyjskiej rodziny herbu Sas miał najwyraźniej „zły dzień” i zapewne z tego powodu rzucił butelką w pielęgniarza. Na szczęście doświadczony pracownik zareagował prawidłowo i „przez szybkie uchylenie się nie doznał rozbicia głowy”. Dźwięk rozbijanej butelki oraz gniewne krzyki chorego usłyszał profesor Żuławski i oczywiście wszedł do pokoju hrabiego, gdzie został zaatakowany przez furiata uzbrojonego w nożyczki. Na szczęście skończyło się na zranieniu ręki. Krakowska prasa pisała później, że „rana prof. Żuławskiego jest lekka i wymaga



**Magiczny
Kraków**

tylko domowej opieki”.

Wydarzenie w „Domu zdrowia” miało przykre konsekwencje dla hrabiego D. Ekskluzywny pensjonat nie jest miejscem odpowiednim dla niebezpiecznych furiatów. Hrabia D. został przewieziony do oddziału dla obłąkanych szpitala św. Łazarza, który w ten sposób zyskał 29 grudnia 1903 r. dwoje nowych, arystokratycznych pacjentów.